

My life



Janina Szatkowska

Moje życie

Idea oraz nadzór/Idee und Betreuung: Dr Krzysztof Wojciechowski

Wywiad/Interview: Marzena Słodownik

Transkrypcja/Transkript: Marzena Słodownik

Redakcja/Lektorat: Marzena Słodownik, Monika Barszczewska

Skład/Satz: Marcin Kowalski

Kierownictwo projektu/Projektleitung: Anna Prażanowska

Wydawca / Herausgeber:

Fundacja na rzecz Collegium Polonicum
Program My Life
ul. Tadeusza Kościuszki 1
69-100 Słubice

Tel.: (095) 7592389

E-mail: mylife@fundacijacp.org



Biografia powstała w ramach projektu „Old&Young – wzajemna inicjatywa.” Znajduje się w Archiwum Ludzkich Losów, w Fundacji na rzecz Collegium Polonicum w Słubicach. Organizacją partnerską jest Stowarzyszenie „MY LIFE – Erzälte Zeigeschichte e.V.” we Frankfurcie nad Odrą.

Projekt finansowany jest ze środków programu „Łączymy pokolenia” realizowanego przez Fundację PZU i Akademię Rozwoju Filantropii w Polsce.

Moje życie

Bolesia

Nazywam się Janina Bolesława Szatkowska, z domu Łoziak. Moi rodzice postanowili dać mi na imię Bolesława, ale ksiądz przy chrzcie powiedział, że to pogańskie imię. Zaproponował, żeby rodzice nadali mi imię chrześcijańskie. Rodzice i chrzestni nie wiedzieli, jakie imię wybrać. Ksiądz powiedział, że ojciec nazywa się Jan, to córka niech będzie Janina. Ale w domu zawsze wołano na mnie Bolesia, nawet w szkole średniej koleżanki mnie tak nazywały. Dopiero, gdy poszłam do pracy, zaczęto mówić do mnie Janina.

Urodziłam się w Ksawerowie, w małej wiosce koło Wrześni, w województwie poznańskim. Na świat przyszedłam 27 listopada 1935 roku, ale mój tata mnie odmłodził i wpisał w metryce datę 1 stycznia 1936. Moja mama, Franciszka Łoziak, z domu Filipczak, urodziła się w 1914 roku. Tata, Jan Łoziak, urodził się w 1910. Pobrali się w 1934 roku. Mój tata, który był z zawodu budowlańcem, zbudował po ślubie dom. W nowym domu przyszedłam na świat. Byłam najstarszym dzieckiem w rodzinie. W 1939 roku urodziła się siostra Halinka, w 1942 Kazia, a w 1947 roku Regina. Miałymy też braciszka, ale urodził się przedwcześnie i zmarł.

Pamiętam mojego dziadka, Jana Filipczaka, tatę mojej mamy, gdy siedział pod drzewem w ogrodzie. Potem, gdy zmarł, jechałam na bryczce obok jego trumny. Babcia nazywała się Apolonia Filipczak, z domu Ławnicka. Dziadek urodził się w



Z siostrami

1872 roku i zmarł w 1939. Babcia urodziła się w 1873, a zmarła w Wigilię 1954 roku. Dokładnie pamiętam ten dzień. Babcia czekała wtedy na córkę, siostrę mamy. Kiedy ciocia przyjechała, babcia odeszła. Rodzice mojego taty nazywali się Antoni Łoziak i Elżbieta Łoziak, z domu Dziubek. Nie pamiętam, kiedy się urodzili. Babcia zmarła w czasie okupacji, a dziadek na początku lat pięćdziesiątych, gdy byłam w szkole średniej. Rodzice mamy i taty mieszkali również w Ksawerowie. W obu rodzinach było ośmioro dzieci, w każdej czterech chłopców i cztery dziewczynki.

W naszej rodzinnej miejscowości mieszkało około 30 rodzin. Ludzie we wsi zajmowali się głównie rolnictwem. Nasz nowy dom wyróżniał się. Był murowany, pokryty dachówką. Były tam dwa pokoje, kuchnia, korytarz. Większość domów na wsi to były glinianki pod strzechą. Rodzice uprawiali półtora hektara ziemi, hodując ziemniaki i warzywa. Mielśmy też zwierzęta, świnie, krowę, kaczki i kury.

Wojenna tułaczka

Podczas okupacji, gdy nas wywłaszczono, wprowadziła się do naszego domu Niemka. Przejęła gospodarstwo sąsiadów, bo było większe od naszego, ale mieszkała w naszym domu.

Dokładnie pamiętam moment wywłaszczenia. Był styczeń 1942 roku. Na dworze szalała zamieć śnieżna. Taty nie było w domu, pracował w Koninie i rowerem przyjeżdżał tylko na niedzielę. Niemieccy żandarmi przyszli w nocy z soboty na niedzielę. Wyznaczyli czas, w którym mieliśmy opuścić dom. Mieli zamiar wywieźć nas do Niemiec. Do naszego domu przyszedł dziadek Antoni z siostrą taty Weroniką. Ona była zakonnicą. Mama była wówczas w zaawansowanej ciąży z trzecim dzieckiem. Zaczęła zdejmować obrazy święte ze ścian, twierdząc, że z Bogiem nie zginie. Ciocia pakowała praktyczniejsze rzeczy. Ja siedziałam na łóżku, a młody żandarm pomagał mi się ubrać. Dziadek prosił Niemców, żeby nie wywozili mnie i siostry, żeby nas skreślili z listy. Żandarmi posłuchali dziadka. Kiedy mama usłyszała, że ma jechać bez dzieci, klękła przed żandarmem i błagała, żeby ją też zostawili. Uprosiła go i została z nami. Wszyscy przenieśliśmy się do dziadka. Młody żandarm, który mnie ubierał, został w naszym domu do przyjazdu Niemki. Mama z wdzięczności zaopiekowała się nim, pomagała napalić w piecu, ugotować obiad. On wpuszczał mamę do domu i pozwolił zabrać potrzebne rzeczy, które tam zostały. Ten chłopak zaprzyjaźnił się z nami.

Przez jakiś czas tułaliśmy się, pomieszkując kątem u rodziny. Ciężkie to były czasy dla naszej rodziny. Mama, będąc wysoko w ciąży, spała na słomie na podłodze. Potem mieszkaliśmy w domu cioci, która była w więzieniu. Żandarmi złapali ją, kiedy przewoziła mięso. W domu cioci przyszła na świat moja siostra Kazia.

„Nasza” Niemka

Jak wcześniej wspomniałam, w naszym domu osiedliła się Niemka. Nazywała się Mesinger, imienia nie pamiętam. Wiedziała, że mieszka w naszym domu. Ale na początku nie znaleźliśmy się. Spędzaliśmy wigilię u dziadka, który mieszkał naprzeciwko naszego domu. Ona dowiedziała się o tym. Przyszła do dziadka i zaprosiła nas do siebie na święta. Wspólnie usiedliśmy przy wigilijnym stole, śpiewaliśmy kolędy, my po polsku, ona po niemiecku. Niemka zaproponowała, żebyśmy zamieszkali obok, w lepiance sąsiada, którego gospodarstwo należało teraz do niej. Kiedy się tam wprowadziliśmy, mama zaprzyjaźniła się z nią. Była dobrą kobietą, dzieliła się z nami tym, co miała. Kiedyś mama schowała mięso w beczce w kurniku. Beczka znajdowała się w dziurze wykopanej w ziemi. Któregoś dnia poszła tam, żeby wziąć trochę na obiad. Kiedy zobaczyła osobę w mundurze, szybko przykryła beczkę niewielką ilością słomy i uciekła do domu. Okazało się, że do „Mesingerki” przyjechał z frontu mąż na krótki urlop. Ona oprowadzała go po całym gospodarstwie. Kiedy weszli do naszego kurnika, Niemiec wpadł do niezabezpieczonej beczki z mięsem. Niemka zdenerwowała się na mamę i krzyknęła: „Co ty robisz? Gdyby przyszli żołnierze i zobaczyli to wszystko, wsadziliby cię do więzienia!” A potem, gdy ochłonęła powiedziała do mamy: „Przyjechał mój mąż Aleksander, a ja nie mam nic na obiad. Pożycz mi trochę mięsa.” Po tym incydencie zaproponowała, żeby mięso chować u niej.

Pamiętam jeszcze jedną historię związaną z naszą niemiecką sąsiadką. Kuzyn mojego taty został wywieziony do Niemiec do pracy. Był nauczycielem i znał dobrze język. Zaprzyjaźnił się tam z Niemcami. Zaoferowali mu swoją pomoc w powrocie do domu. Załatwili papiery i ubranie. Kuzyn wsiadł w pociąg i wrócił do kraju. Był poszukiwany przez żandarmów, ale ukrywał się u naszej sąsiadki. Żołnierze szukali zbiega we wsi, a on spokojnie siedział u Niemki w pokoju.

Gdy Niemcy szykowali się do powrotu, mama pomagała spakować się swojej niemieckiej przyjaciółce. Upiekła dla niej chleb na drogę. „Nasza” Niemka, jak ją nazywaliśmy, wróciła do domu, do swoich dzieci. Potem zawiadomiła nas, że jej mąż wrócił z frontu. Po wojnie kontakt się urwał. Wtedy nie wolno było pisać listów. Kiedy Niemka wyjechała, wróciliśmy do domu. Zostawiła nam mieszkanie pięknie urządzone.

Owczarek niemiecki i front rosyjski

Gdy do Ksawerowa dotarli rosyjscy żołnierze, zatrzymali się u nas w domu. Odpoczęli, najedli się i następnego dnia poszli dalej. To było w roku 1945. Kucharz,

który przygotowywał im posiłki, miał chory palec. Mama robiła mu okłady, kazała odpoczywać, a sama gotowała dla żołnierzy. Tata poobcinał im włosy. W armii rosyjskiej były też kobiety. Zapamiętałam dokładnie, jak klaniały się, gdy przechodziły przed obrazem Matki Boskiej. Dziwne było to dla mnie, my tak nie robiliśmy.

Rosyjscy żołnierze mieli wielkiego psa, owczarka niemieckiego. Uwielbiam psy i od razu tego owczarka pokochałam. Jeden z żołnierzy bardzo mnie polubił i nosił mnie na rękach. Powtarzał, że w domu ma taką córcię jak ja. Kiedy Rosjanie wyjeżdżali, ten żołnierz zrobił mi prezent i zostawił psa. Ale to nie był jedyny podarunek. Po ich wyjeździe okazało się, że na moim łóżku, pod kołdrą, zostawili dużo suchego prowiantu.

Nie mam traumatycznych przeżyć z okresu wojny. Może akurat miałam szczęście i spotykałam w życiu wyłącznie dobrych ludzi. Pamiętam tylko, kiedy podczas Świąt Wielkanocnych chciano nas upokorzyć. Niemcy wygonili nas na pole i kazali zbierać kamienie. Byłam wtedy odświętnie ubrana. Mama uszyła mi sukienkę z flag niemieckich. Była czerwona i miała marynarski kołnierz. Tak ubrana poszłam na pole. Miałam kolegę Niemca, syna sołtysa, który pomagał mi przy tej pracy. Nosił za mnie kosze z kamieniami. Pamiętam też naloty niemieckich samolotów. Mama moczyła wtedy koce i przykrywała okna, chroniąc nas w ten sposób. Czekaliśmy w półmroku, aż samoloty odlecą.

Najstarsza

Byłam najstarszym dzieckiem w domu, musiałam się opiekować młodszymi siostrami, często im ustępować. Mama raz powiedziała do mnie, żartując: „Ty stara krowo”. A ja odpowiedziałam: „Mama jeszcze starsza”. I wtedy oberwało mi się od mamy.



Moja mama

Jeszcze w czasie okupacji, dziadek kupił nam kozę, żeby dzieci miały kozie mleko do picia. Ale ja nigdy nie piłam tego mleka i nie jeden raz dostałam od mamy ścierką. Pożaliłam się tacie, który przyjechał do domu w niedzielę. Tata zdenerwował się i zabił kozę. Nikt nie chciał jeść tego mięsa, tylko ja i tata. Byłam córeczką tatusia. Raz zdarzyło się, że dostałam od taty lanie. Było to wiosną, miałam iść do babci ubrana w czerwony płaszcz z kapturem. Nie chciałam założyć tego kapturka na głowę, ale mama powiedziała, że nie pójde, jeśli nie założę. Zaczęłam płakać, ale nikt nie reagował. Rzuciłam się z nerwów na podłogę, a tata „pasem mnie podniósł”. I tak się

skończyła moja histeria. Może dlatego dzisiaj nie mam usposobienia histerycznego. Tata bardzo przeżywał to, co się stało. Starał się to wynagrodzić i nosił mnie na rękach.

Tata był dla mnie bardzo dobry, wszędzie mnie z sobą zabierał. Nauczył mnie tańczyć. Odziedziczyłam po tacie nawyki kulinarne. Jeżeli tato czegoś nie jadł, ja również tego nie jadłam. Po mamie odziedziczyłam zdolności artystyczne. Mama lubiła śpiewać i recytować wiersze.

Jako dzieci bawiliśmy się lalkami uszytymi przez nią. Ja również lubiłam szyć. Szyłam ubranka dla lalek, potem ubrania dla sióstr. Szycie stało się moim hobby.

W czasach mojego dzieciństwa bardzo skromnie obchodziło się święta. Była choinka i prezenty dla wszystkich, które mama sama przygotowywała. Robiła nam sweterki, czapeczki, skarpety. Największą przeżyciem dla dzieci były wizyty „gwiazdorów”. Chodzili po domach poprzebierani, w maskach na twarzy. Święta kojarzą mi się właśnie z tymi odwiedzinami.

Pamiętam, że obchodziliśmy Zielone Świątki. Wieczorem, w przeddzień uroczystości, tato przynosił do domu gałązki brzozy i ustawiał koło naszych łóżek. Budziliśmy się rano otoczeni zielenią i pięknym zapachem. Wszystkie domy we wsi ustrojone były brzozą i tatarakiem.

Czasy powojenne

Po wojnie zaczęłam chodzić do szkoły. Wcześniej, w czasie okupacji, uczyli nas rodzice. Gdy poszłam do szkoły umiałam czytać i pisać. Edukację rozpoczęłam od drugiej klasy i w tym samym roku zaliczyłam jeszcze klasę trzecią, żeby nadrobić stracony czas. Nie mieliśmy książek, korzystaliśmy z zeszytów, które zostały po dzieciach niemieckich. Szkoła mieściła się w prywatnym domu. Było nam ciasno, bo klasy były przepełnione. Dyrektorem szkoły była pani Wróblewska, która wcześniej uczyła moją mamę. Wszyscy nauczyciele byli wspaniali, a do szkoły chodziliśmy bardzo chętnie. Czasami zdarzało się, że zastępowałam nauczyciela na lekcji. Na zakończeniu roku szkolnego żegnaliśmy się z płaczem. Nudziło się nam, kiedy były wakacje.

Będąc w szóstej i siódmej klasie przygotowywałam młodszych kolegów do Pierwszej Komunii Świętej. Nazywano mnie sekretarką księdza. W nagrodę za pracę pojechałam na pielgrzymkę do Częstochowy.



Mój tata



W mundurze leśnika

Pod koniec lat 40-tych zaczęto budować szkołę w sąsiedniej wsi. Wszyscy uczniowie pomagali w pracach budowlanych. We wrześniu 1951 roku młodzież zaczęła uczyć się w nowej szkole. Mnie ten zaszczyt nie spotkał, bo skończyłam już edukację podstawową.

Będąc uczennicą szkoły podstawowej, rozwinęłam swoje zdolności plastyczne. Niektórzy nauczyciele proponowali mi, żebym została nauczycielką plastyki, inni namawiali na naukę w Liceum Sztuk Pięknych. Tak też zrobiłam. Zdawałam egzamin do liceum w Poznaniu, ale nie dostałam się. Potem dowiedziałam się, że gdyby mój tato był w partii, to miałabym wystarczająco dużo punktów. Ale takie wtedy były czasy. Zbuntowałam się wtedy i nigdy więcej nie sięgnęłam po pędzel. Kiedy w komendzie hufca dowiedzieli się, że nie zostałam przyjęta, przyjechali do nas do domu i powiedzieli, żebym wybrała inną szkołę. Dali mi delegację na wyjazd do Poznania. Myślałam, że ktoś ze mną pojedzie, bo tak kojarzyła mi się delegacja. Pojechałam do Poznania sama. Tam zostałam poinformowana, w których szkołach jest nabór po wakacjach. Z wykazu szkół wybrałam nowo otwarte technikum leśne dla dziewcząt. Znajdowało się w Mojej Woli koło Ostrowa Wlkp. Szkoła mieściła się w przepięknym zamku myśliwskim. W budynku był też internat. Mama odwiozła mnie do szkoły. Było mi strasznie przykro, bo po raz pierwszy miałam przebywać poza domem.

Ale spotkałam tam wspaniałą koleżankę, która się mną zaopiekowała. Ta przyjaźń trwa do dziś. Wtedy nazywała się Otylia Łachowska, teraz Karmonik. W szkole uczyły się same dziewczęta. Były dwie pierwsze klasy, w każdej około 40 osób. Z prawie 80 uczennic rozpoczynających edukację, maturę zdało 36. W technikum uczyli wspaniali profesorowie. To był cudowny okres w moim życiu. Wszystkim to dzisiaj powtarzam. Należałam do najlepszych uczennic w klasie. Profesor od rysunku technicznego bardzo mnie chwalił. Mówił, że on wykonuje rysunki dobrze, a ja bardzo dobrze. W maju 1955 roku zdałam maturę. Po maturze pojechalismy na ostatnią szkolną wycieczkę do Karpacza.



Koleżanki z technikum leśnego

Krok w dorosłość

Pierwszego lipca 1955 roku poszłam do pracy. Zaczęłam pracować w nadleśnictwie Białe Łąki, niedaleko Międzyrzecza. Mieszkalam na piętrze, w małym służbowym pokoiku, w pomieszczeniach nadleśnictwa. Na dole były biura. Na początku nie było tam prądu i wody. Prawdziwie spartańskie warunki. W październiku wzięłam ślub i zamieszkałam tam z mężem.

Mój mąż pochodził z wioski, sąsiadującej z moją rodzinną miejscowością. Zналиśmy się już kilka lat. Wtedy nie chodziło się na randki, spotykaliśmy się na zabawach i potańcówkach. Pamiętam, że za czasów mojej młodości spotkania młodych ludzi były spontaniczne. Wystarczyło, że ktoś zaczął grać na jakimś instrumencie. Zbierała się ekipa i była zabawa. Nie trzeba było się specjalnie przygotowywać.

Kiedy byłam w szkole średniej, a Staszek w wojsku, pisaliśmy do siebie listy. Potem, gdy pracowałam w nadleśnictwie, on pracował w Poznaniu jako krawiec. Nie spotykaliśmy się często, bo nie było możliwości. Gdy jechałam do rodziny, zatrzymywałam się najpierw w Poznaniu. Do pociągu wsiadał Staszek i razem odwiedzaliśmy rodzinne strony.

Wyszłam za mąż 15 października 1955 roku w Ksawerowie za Stanisława Poturalskiego. Do ślubu kościelnego jechaliśmy bryczką. W czasie mszy świętej śpiewał dla nas chór. Wesele odbyło się w moim rodzinnym domu w gronie najbliższej rodziny i przyjaciół. Kiedyś nie wyprawiało się dużych wesel. Ubrana byłam w kremowy kostium, który uszył mi Staszek. Taki ślubny strój zobaczyłam u panny młodej, będąc na pielgrzymce w Częstochowie. Na nogach miałam beżowe buty z wężowej skóry, na które wydałam całą pensję. Włosy ozdabiał krótki welonik. Ślub cywilny wzięliśmy w lutym 1956 roku w leśniczówce w Kalsku. Jechaliśmy do ślubu saniami przez las.

Jak już wspomniałam, zamieszkaliśmy z nadleśnictwie w moim pokoiku. Potem dostaliśmy większe mieszkanie. 11 października 1956 roku urodziła się córka Jadwiga. Było nam ciężko. Nie mieliśmy nikogo do pomocy, a ja po urlopie macierzyńskim musiałam wrócić do pracy. Trochę pomagała mi mama. Dzięki temu, że moje



Ślub z pierwszym mężem



Kilkumiesięczna Jadzia

biuro było naprzeciwko mieszkania, jakoś dawałam sobie radę. Siedziałam w biurze, a dziecko spało. Gdy się obudziło, wracałam do mieszkania. Czasami zabierałam córkę do biura.

W nadleśnictwie panowały ciężkie warunki. Nie było bieżącej wody i prądu. Białe Łąki oddalone były kilkanaście kilometrów od miasta. Dlatego przeprowadziliśmy się do Międzyrzecza. Tam zajęliśmy dom po innej rodzinie. Było to w 1957 roku. W lipcu 1958 roku urodził się syn Roman. Zajmowałam się wtedy domem i dziećmi. 5 stycznia 1962 roku urodził się najmłodszy nasz syn, Andrzej. Zaczęłam szukać pracy. Chciałam znaleźć coś w nadleśnictwie, ale nie udało się. Przypadkowo trafiłam do banku. W jednym budynku znajdowała się siedziba Narodowego Banku Polskiego i Banku Rolnego. Kiedy przyszłam zapytać o pracę, dyrektor

powiedział do mnie: „Proszę przyjść jutro do pracy”. Ale następnego dnia był 13 marca. Powiedziałam dyrektorowi, że to pechowa data. On odpowiedział: „Dla pani będzie to szczęśliwy dzień”. I tak rozpoczęła się moja kariera bankowca. Potem miałam przejść do Banku Rolnego i zająć się kredytowaniem nadleśnictw, ale pracę dostał kolega, który miał lepsze znajomości.

Mąż zacząć pracować w zakładzie melioracji, a po godzinach zajmował się szyciem. W zakładzie melioracji zaczął się problem z alkoholem, bo okazji do wypicia nie brakowało.

Życie codzienne

Dzieci często wyjeżdżały na wieś do mojej mamy. Podczas pobytu córki Jadwigi zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Córeczka przewróciła się i mocno uderzyła w nogę. Miała stłuczoną kość, w ranie zbierała się ropa. Groziła jej amputacja. Córka leżała w szpitalu we Wrześni. Doktor Pinkowska, która była pediatrą moich dzieci, przez cały czas miała kontakt z lekarzami z Wrześni. W szpitalu zrobiono operację. Po wyjściu ze szpitala Jadzia leżała w domu babci. Lekarz przyjeżdżał codziennie. Na szczęście amputacja nie była konieczna i wszystko skończyło się dobrze. Rekonwalescencja trwała kilka tygodni. Wszyscy bardzo przeżyliśmy tę trudną sytuację.

Najbardziej moja mama, gdyż tragedia wydarzyła się, kiedy córka była pod jej opieką.

Dzieci chorowały na różne przypadłości wieku dziecięcego. Kiedyś poważnie zachorował Andrzejek. Doktor Pinkowska stwierdziła, że stan jest krytyczny. Powiedziała też, że jeżeli przeżyje noc, to będzie dobrze. Synek zaraził się jakąś bakterią w żłobku, miał biegunkę, był odwodniony. Tak się wtedy martwiłam, że wypadła mi połowa włosów. Ale na szczęście syn wyzdrowiał.



Lata siedemdziesiąte

Dzieci rosły, były zdrowe i to było dla mnie najważniejsze. Niestety, w naszym małżeństwie nie układało się. Alkoholizm i awantury, które mąż wszczynał po wypiciu, były przyczyną rozvodu. Długo zwlekałam z tą decyzją. Ale któregoś dnia powiedziałam: „Dość”. Miałam operację w szpitalu i kiedy obudziłam się po narkozie wiedziałam, że nasze małżeństwo się skończyło. Złożyłam pozew o rozwód, zabrałam dzieci i przeniosłam się na strych naszego domu. Było nam ciężko. Nie było łazienki i prądu. Kran z wodą znajdował się na korytarzu.

Na pierwszą sprawę jechałam bardzo zdenerwowana. Nie wiedziałam ile to wszystko potrwa. Powiedziałam koleżankom w pracy: „Jak dostanę rozwód dzisiaj, to stawiam”. Nikt nie wierzył, że to będzie tak szybko. Kolega powiedział, że jeżeli dostanę rozwód na siódmej, czy ósmej sprawie, to będzie dobrze. Rozwód jednak dostałam od razu. Wróciłam do pracy i mówię: „Macie przed sobą rozwódkę.” Nikt mi nie uwierzył. Dopiero, gdy postawiłam na stole pół litra wódki, zorientowali się, że nie żartuję. Rozwód świętowałam z koleżankami i kolegami w pracy. Było to w roku 1974.

Po rozwodzie eks-małżonek zaprosił mnie do palmiarni w Zielonej Górze na dąsing. Podczas zabawy zamówił dla mnie pożegnalną piosenkę „Ta ostatnia niedziela”. Potem spotykaliśmy się sporadycznie. Nasze kontakty układały się poprawnie.

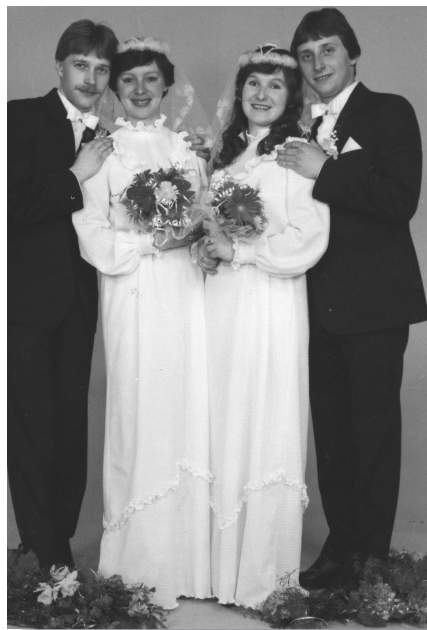
W roku 1979 przeprowadziłam się z dziećmi do Słubic. Dostałam mieszkanie służbowe w budynku banku, w którym pracowałam. Tam byłam zastępcą głównej księgowej. Kiedy główna księgowa awansowała na stanowisko dyrektora banku, ja zajęłam jej miejsce. Pracowałam jako główna księgowa do emerytury, do 1991 roku. Kiedy przesłam na emeryturę, musiałam zwolnić mieszkanie służbowe. Dyrekcja banku przydzieliła mi mieszkanko na Żwirki i Wigury, w którym mam prawo przebywać do końca życia.

Dzieci i wnuczęta

Moja córka wyszła za mąż w lutym 1976 roku za Mariusza Koszełę. W czerwcu tego samego roku urodził się mój pierwszy wnuk Robert. Wnuczka Agnieszka urodziła się 16 października w 1978, w dniu wyboru Karola Wojtyły na Papieża. Wnuczka miała przyjść na świat 15 października, ponieważ na ten dzień lekarze zaplanowali cesarskie cięcie. Ale tego dnia doszło w Międzyrzeczu do tragicznego wypadku samochodowego. Auto potrafiło ciężarną kobietę. Lekarze musieli zająć się nią natychmiast. Dziecko uratowali, kobieta zmarła. Zabieg u córki przeprowadzono następnego dnia. Kiedy wnuczka była już na świecie, córka dziwiła się, że bliscy nie przyszli do szpitala. Nie wiedziała, że cała rodzina ogląda w tym czasie relację z Watykanu. Potem cieszyliśmy się wszyscy razem. Ta data jest bardzo ważna dla naszej rodziny. Dodam jeszcze, że zbieram wszystkie materiały o Janie Pawle II. Potem przekażę je mojej wnuczce Agnieszce. Córka z zięciem doczekali się jeszcze jednego potomka. W 1995 roku, siedemnaście



Ślub córki



Synowie z żonami

lat po przyjściu na świat Agnieszki, urodziło się najmłodsze dziecko córki, syn Arek.

Synowie, Roman i Andrzej, brali ślub tego samego dnia, 23 kwietnia 1983 roku. Z tym wydarzeniem wiąże się interesująca historia. Jechałam pociągiem z najmłodszym synem Andrzejem do mojej mamy, żeby zawiadomić o ślubie Romana. W drodze powrotnej Andrzej powiedział do mnie: „Mamo, ja też będę się żenił.” Nieświadoma powiedziałam do niego: „Na pewno się kiedyś ożenisz.” On spojrzał na mnie i powiedział: „Ale ja muszę teraz, bo Ela jest w ciąży.” W taki sposób mieliśmy dwie uroczystości zaślubin w jednym dniu. Dwie pary nowożeńców, eleganckie stroje, wspaniała uroczystość. Po kilku miesiącach na świat przy-

szły dzieci. Młodszy syn, chociaż jako drugi zawiadomił mnie o ślubie, został ojcem miesiąc wcześniej niż starszy.

Jadwiga z Mariuszem i Andrzej z Elą mieszkają w Międzyrzeczu. Roman z Małgosią w Słubicach. Andrzej ma troje dzieci. W 1983 urodziła się Joanna, Monika w 1985, a Marek w 1994. Roman ma jedną córeczkę Anetkę urodzoną w roku 1983. Mam siedmioro wnucząt i dwie prawnuczki. Mój najstarszy wnuk Robert ma dwie córeczki, Beatkę i Palinkę. Moje prawnuczki to wspaniałe, grzeczne, cudowne dziewczynki.

W roku 1995 mój kuzyn z Poznania wpadł na pomysł, żeby zorganizować zjazd rodzinny Filipczaków. Przyjechało ponad sto osób z rodziny mojej mamy. Msza święta odbyła się w naszej parafii w Samarzewie. Po mszy odwiedziliśmy groby rodzinne. Bawiliśmy się na bankiecie w Gulczewie, koło Wrześni. Potem było ognisko. Wszystko było wspaniale zorganizowane. Z rodziną utrzymuję serdeczne kontakty, ale najbardziej zaprzyjaźniona jestem z kuzynką Lucyną, która obecnie mieszka w Poznaniu. Przyjaźnimy się od dziecka. Jej tato, a mój wuj, grał na



Z córką i wnukiem Robertem



Zjazd rodzinny w 1995 roku



Stary kościół w Samarzewie

z nimi siostra Halinka, która do tej pory tam mieszka. Mój tato budowlaniec, miał się dodatkowo różnych zajęć. We wsi mówiono na niego „złota rączka”. Bardzo kochał przyrodę, sadził drzewka, jeździł po polach. Miał naturę ogrodnika.

15 sierpnia 1966 roku, podczas odpustu, spalił się kościół w Samarzewie. Parafianie pomagali budować nową świątynię. Mój tatuś bardzo aktywnie włączył się w odbudowę kościoła. Jego zaangażowanie docenił ksiądz kanonik Władysław Woźniak, proboszcz parafii w Samarzewie. Pewnego dnia przyszedł do naszego domu i powiedział do taty: „Janek, na niebo już sobie zasłużyliśmy. Nie klepaliśmy zdrowasiek, ale wybudowaliśmy świątynię.” Nowy kościół został oddany do użytku 29 września 1974 roku. Tatuś był aktywny do końca życia, miał ogromne poczucie humoru. Nigdy nie siedział z założonymi rękami, zawsze znalazł sobie coś do roboty. Zmarł w 1987 roku, przeżywszy 77 lat.

Nasza mama zajmowała się domem i gospodarstwem. Była elegancką kobietą o pogodnym usposobieniu. Była bardzo gościnna. Miała artystyczną duszę, lubiła śpiewać i recytować wiersze. Odziedziczyłam po niej te zamiłowania. Po śmierci taty mamą zaopiekowała się siostra Halinka i jej córka Marlena. Marlenka jest pielęgniarką i moją jedyną chrześniaczką. Mama doczekała się ośmiorga wnucząt, szesnaściora prawnucząt i dwóch praprawnuczek. Zmarła w roku 2004, kiedy miała 90 lat.

Za mundurem

Kiedy zaczęłam pracować w Słubicach, moi przełożeni dziwili się, dlaczego interesanci z technikum w Staroście, są tak

skrzypcach. Mogłam siedzieć godzinami i słuchać. Dla mnie muzyka jest darem od Boga.

Rok 2006 był dla naszej rodziny niezwykle. W styczniu kończyłam 70 lat, mojej córce stuknęła pięćdziesiątka, a wnuk Robert obchodził trzydzieste urodziny

Rodzice

Moi rodzice przez całe życie mieszkali w domu wybudowanym przez tatę. Została



Odbudowana świątynia

dobrze obsługiwani. Rozniosła się wieść, że uczennica technikum z Mojej Woli pracuje w banku w Słubicach i pewnie dlatego Staroścín ma takie względy. Mój przyszły małżonek przyjeżdżał do naszego oddziału i załatwiał tu różne sprawy. Zawsze powtarzałam, że chociaż pracuję w banku, pozostała mi słabość do leśników. Mariana Szatkowskiego znałam jeszcze z czasów, kiedy byłam uczennicą w Mojej Woli. Pracował wtedy w ministerstwie i był w naszym technikum na uroczystym nadaniu szkole imienia Bolesława Bieruta. Pamiętam go jako młodego, przystojnego mężczyznę. W latach 80-tych nasza znajomość zaczęła się rozwijać. Marian był emerytowanym dyrektorem technikum w Starościnie i wdowcem od dziesięciu lat. Ślub wzięliśmy 16 kwietnia 1988 roku, chociaż po rozwodzie zarzekałam się, że już nigdy nie wyjdę za mąż. Marian po prostu mnie zauroczył. I jeszcze ten mundur. A poza tym, dyrektorowi się nie odmawia. To był wspaniały, zacny człowiek. Pedantyczny, poukładany. Miał troje dzieci z pierwszego związku, córkę i dwóch synów, z którymi od razu nawiązałam serdeczny kontakt. Kiedy wychodziłam z domu, mąż zawsze pytał: „Janinka, kiedy wrócisz?” A córka męża śmiała się i mówiła: „Ty będziesz długo młoda, bo tata traktuje cię jak uczennicę.”



Z drugim mężem Marianem Szatkowskim

Miłość i choroba

Nasze wspólne życie układało się wspaniale. Ciężko było, kiedy mąż zachorował na Alzheimera. Ta choroba jest bardzo uciążliwa, ale Marian zasłużył sobie na najlepszą opiekę. Wszystkim powtarzałam, że w tym ciężkim okresie procentowała jego inteligencja. Ludzie chorzy potrafią być okrutni, ale on nawet wtedy był wspaniały. Wiem, z własnego doświadczenia, że choroba nie dotyka pacjenta, ale jego bliskich.

Kiedys miała nas odwiedzić Hania, córka męża. Marian cały dzień cieszył się i czekał. Kiedy przyjechała, był bardzo szczęśliwy. Następnego dnia rano zapytał mnie: „Co ten chłopak tu robi?” Hania jest szczupłą osobą, ma krótkie włosy i lubi nosić spodnie. Powiedziałam do męża: „To Hania, twoja córka.” A on na to: „Han-



Z prawnuczkami, Beatką i Paulinką

ka, niemożliwe. Ty myślisz, że ja nie poznałbym Hanki.” Innym razem spojrział na mnie i zapytał: „Pani doktor, jak się pani nazywa?” Odpowiedziałam mu: „Nazywam się Szatkowska.” On popatrzył na mnie i powiedział z niedowierzaniem: „Szatkowska? To my może jesteśmy z jednej rodziny?” A ja mu na to: „Tak, jestem żoną.” Spojrział uważnie i powiedział: „Niemożliwe!” Zdarzały się takie dni, kiedy trzeba było pielęgnować go jak małe dziecko. Rano, kiedy umysł męża lepiej pracował, przypominał sobie, co działo się poprzedniego dnia i często mówił do mnie: „Janinka, idź i podziękuj panu doktorowi, że przydzielił mi taką wspaniałą higienistkę.” Zdarzało się, że mąż wychodził z domu, kiedy nie zauważyłam. Wybiegałam z mieszkania i szukałam go. Pewnej nocy wyszedł niezauważony. Odnalazłam go na ulicy Jedności Robotniczej. Ucieszył się i powiedział: „Janinka, bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Mam coś dla ciebie.”

Wyciągnął z kieszeni budzik, który wziął z mieszkania i dał mi.

Wszystkie dzieci, męża i moje, pomagały w opiece nad chorym. Mariana nie można było zostawić w domu samego. Kiedy musiałam wyjść lub wyjechać, wyręczały mnie dzieci.

85-te urodziny męża obchodziliśmy hucznie na wyspie w Staroście. To wspaniałe miejsce do biesiadowania. Jest tam zadaszenie i miejsce na ognisko. A wokół dużo zieleni. Zjechała się cała rodzina, było wspaniałe przyjęcie. Dwa lata później, 5 października 2001 roku, mąż zmarł. Chorował około pięciu lat. Do końca życia był aktywny. W łóżku leżał trzy tygodnie przed śmiercią, kiedy był w szpitalu.

Na emeryturze

Chociaż mieszkam teraz sama, nigdy nie czuję się samotna. Mam wielu przyjaciół. Zawsze ktoś przyjdzie na kawę. Po śmierci męża odwiedziła mnie kuzynka Lucynka i zaproponowała, żebym zaczęła jeździć z nią na wycieczki. Odpowiedziałam: „Nie wiem, czy będę mogła, bo się związałam.” Kuzynka dziwnie spojrzała na mnie i spytała: „Z kim?” A ja jej na to: „Z chórem.”

Chór Consonans pozwala realizować się mojej artystycznej duszy. Śpiewanie sprawia mi wielką przyjemność. Oprócz tego uczestniczę w zajęciach organizowanych przez Polsko-Niemiecką Akademię Seniorów. Dzięki tym zajęciom mogę spotykać się z naszymi sąsiadami zza Odry.



Z mieszkanką Sri Lanki i jej synkiem

Sensem mojego życia jest poezja. Uwielbiam czytać i uczyć się wierszy na pamięć. Znam wiele utworów, niektóre pamiętam jeszcze z czasów szkolnych. W młodości uwielbiałam poezję Ludwika Jerzego Kerna. Teraz uczę się wierszy z tomiku „Myśli piórkiem pisane”, którego autorem jest Marcin Urban.

Od Sri Lanki po Maderę

Uwielbiam podróże. Tą pasją zaraziła mnie kuzynka z Poznania. Nasz kolega Mieczysław wyszukuje w Internecie atrakcyjne oferty. Jeździmy z biurem niemieckim, wybierając oferty last minute. Pierwszy raz pojechałam z nimi do Rosji. Zwiedziliśmy kraj, płynąc Wołgą na wspaniałym statku. Załoga statku oferowała nam wiele atrakcji, świetne wyżywienie, dansingi. Było tak wspaniale, że wybraliśmy się po raz drugi na taką wycieczkę

Dwa razy odwiedziliśmy Sri Lankę. Tam jest przepięknie. Bujna egzotyczna roślinność zaskoczyła mnie. Ale najbardziej zachwycona byłam mieszkańcami Sri Lanki. Są radośni, weseli. Ludzie pozdrawiają się na ulicy. Nie spotkałam tam smutnego człowieka. Obserwując ich, można powiedzieć, że szczęście i radość nie zależy od bogactwa. Być może niezwykła flora wpływa na samopoczucie tych ludzi.

Byłam także na Maderze. Tam jest cudownie, jak bajce. Ale ludzie nie są tak szczęśliwi jak na Sri Lance, chociaż są bardziej zamożni. Podczas moich podbojów zwiedziłam też Londyn i Pragę.

Dwukrotnie w życiu udało mi się obejrzeć pełne zaćmienie słońca. Pierwszy raz w latach 50-tych. Grabiłam siano na łące nad Wartą. I tam



Na wycieczce w Pradze



Z koleżanką Otylią Karmonik

miałam okazję zobaczyć to niesamowite zjawisko. Oglądałam zaćmienie za pomocą szkła z rozbitej butelki. W 2006 roku w kwietniu byłam w Turcji z kolegą Mieczysławem, synem Romanem i synową Małgosią. Tam także podziwialiśmy zaćmienie słońca.

W tym roku wybieram się z przyjaciółmi w rejs. Popłyniemy nowym statkiem dookoła Wysp Kanaryjskich. Wszyscy mnie pytają, skąd biorę pieniądze na ekskluzywne podróże. Po pierwsze nie palę i dlatego jestem w stanie wygospodarować pieniądze na jeden wyjazd. Po drugie nie piję, więc mam drugą wycieczkę. Jestem bankowcem, więc umiem rządzić się pieniędzmi. Uważam, że świat jest piękny i jeżeli są możliwości trzeba jeździć i podziwiać jego zakątki.

Zastanawiam się tylko, dlaczego ludzie niszczą to piękno?

Grunt, to się nie przejmować

Nie należę do osób, które narzekają na swój los. Powtarzam często, gdy się człowiek nudzi, to znaczy, że się starzeje. Mam zawsze dobry humor, to jest mój sposób na życie. Umieję zorganizować sobie czas, nie jestem typową polską emerytką. Nie uzależniam się od seriali, czuję się wolna, mogę robić, co chcę i dobrze mi z tym. Prowadzę zdrowy tryb życia. Uważam, że o zdrowie musimy zadbać sami, bo nikt za nas tego nie robi. Żyję według zasady Hanki Bielickiej „nżd”, co oznacza „nie żryj dużo”. Ważna jest jakość, a nie ilość.

Zawsze mówiłam: „Czas to pieniądz.” Myślałam, że na emeryturze, będę miała dużo czasu i dużo pieniędzy. Ale w moim przypadku to powiedzenie nie sprawdza się, gdyż staram się żyć intensywnie.

Kiedy przechodziłam na emeryturę, pojechałam do Międzyrzecza, żeby załatwić zaświadczenie z pracy z nadleśnictwa. Okazało się, że starych papierów już nie ma. Żeby otrzymać zaświadczenie, trzeba było znaleźć dwóch świadków, którzy potwierdziliby prawdziwość danych. Znalazłam jednego świadka, ale miałam problem z drugim. Spytałam sekretarkę: „Może nadleśniczy podpisze zaświadczenie?” Odpowiedziała: „Nadleśniczy na pewno pani nie podpisze.” Zastanawiałam się nadal, kogo poprosić o pomoc. Nagle otworzyły się drzwi i pojawił się nadleśniczy. Bardzo ucieszył się na mój widok. Opowiedziałam mu o swoim problemie. Natychmiast

zgodził się pomóc. Zapytał mnie wtedy: „Co pani robi, że wygląda pani tak znakomicie?” A ja mu powiedziałam: „Żyję w myśl zasady: grunt to się nie przejmować.” Uważam, że nie warto zamartwiać się drobiazgami. Jeżeli mam problem, to idę spać i myślę: „Jutro będzie lepiej.” A poza tym, nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

ŻYCZENIA

*Czy wiesz, czego Ci życzę?
Codziennie nowych zachwyców,
Marzeń w kolorze różowym,
Od tańca zawrotów głowy.
Wyznań cichutko szeptanych,
Łez szczęścia niepowstrzymanych.
Radości, która nie znika
I w sercu gra jak muzyka.*

*Życzę Ci także gorąco
Spacerów łką kwitnącą.
Olśnienia jaskółki latem,
Wzniosłym skowronka świergotem.
Zadumy, choćby przez chwilę
Nad mrówką i nad motylem,
I zamyslenia w zachwycie
Nad cudem, jakim jest życie.*

*Mam też życzenia najszczęśliwsze,
By sny Twe były jak wiersze,
Niezwykłych, pełnych czułości.
Lecz także w Twej codzienności,
Szczęścia zaznaj w całej pełni.
Niech to wszystko Ci się spełni.
A dla siebie pragnę tylko,
Być w Twym życiu choćby chwilą*

Marcin Urban

Tomik poezji „Myśli piórkiem pisane”